

Dariusz Karłowicz: Grozi nam postliberalna dyktatura

Polska skopiowała model demokracji liberalnej, dość mechanicznie adaptując go do naszych realiów. Jego najsłabsze miejsca trzeszczą u nas intensywniej i wcześniej niż na Zachodzie. Zasadniczy problem tego ustroju polega na tym, że został on zbudowany na przekonaniu, że jedynym zagrożeniem wspólnoty politycznej jest faszyzm – mówi w wywiadzie dla „Polski The Times” Dariusz Karłowicz, współzałożyciel Teologii Politycznej.

Agaton Koziński (Polska The Times): Jaka jest dzisiaj główna oś podziału politycznego?

Dariusz Karłowicz, redaktor naczelny Teologii Politycznej: Dawny obóz Solidarności gwałtownie podzieliła historia III RP, przede wszystkim lata 90. i zrealizowany wówczas projekt brutalnych, neo-liberalnych reform, które wyrzucały za burtę ogromną część Polaków. Do dziś mam ciarki, gdy sobie przypominam pogardliwą obojętność, towarzyszącą wszystkim frazesom o tym, że trzeba się dostosować do nowych czasów. Pamiętam, z jaką pogardą mówiono o setkach tysięcy osób w dawnych PGR. O tych pracownikach mówiło się z wyższością ludzi znających tajniki najlepszego ze światów. Powinni się „przekwalifikować” – powiadano. Wszystko się we mnie gotowało, gdy to słyszałem. To był okres niesłychanej brutalności, w całkowitej kontrze wobec tradycji Solidarności.

Czasy były brutalne, ale pojawiało się wiele możliwości. Można było z nich korzystać.

Tylko trzeba było jeszcze cieszyć się przywilejem rozmaitych okoliczności, które pozwalały z tych możliwości skorzystać. Szanse absolwenta studiów z dużego miasta były inne niż osoby żyjącej w dawnym PGR. Ci drudzy swoich szans po prostu nie mieli. Co więcej, architekci transformacji nie brali pod uwagę, że są zobowiązani do tego, żeby taką szansę zapewnić. To, jak głęboka zadra siedzi z tamtych lat w tych, którym się udało, najlepiej pokazała reakcja na program 500 plus. Ta retoryka, że pieniądze trafiają do pijaków, którzy na pewno je przepiją, pogarda dla wielodzietnych rodzin. Straszne.

**Teraz mówi Pan, że arogancja elit to grzech pierworodny III RP?
Czy raczej to była maska ukrywająca inne słabości?**

III RP została zbudowana na pomysle niezwykle prymitywnej wersji neoliberalnego konceptu państwa (z jego apoteozą indywidualizmu pojętego *de facto* jako egoizm), która stanowić miała ostateczny kres ludzkich poszukiwań najlepszego porządku polityki, rynku i kultury. Ten neoliberalny heglizm dla ubogich dawał moralny patos transformacji, uzasadniał brutalność polityki, a przy okazji doskonale służył różnym układom z postkomuną. Niestety, ten pomysł był oczywistym zaprzeczeniem tradycji Solidarności. W zamyśle architektów nowego porządku, ten ład miał nas wyzwolić ze wszystkich nadmiernie rozwiniętych elementów wspólnoty, które oni uważali za bardzo groźne dla swojej wizji nowoczesności.

Jednak III RP musiała od początku być zaprzeczeniem PRL. Trzeba było o 180 stopni przestawić zwrotnicę. Nie dało się tego zrobić w sposób sterylnie czysty.

Ale jednak wybór modelu transformacji niesolidarnej nie daje się obronić. Wytłumaczeniem może być brak wiedzy i wyobraźni władzy – ale to usprawiedliwienie dobre w konfesjonale. Od władzy zwykło się oczekiwać, że wie coś więcej. Dlatego właśnie uważam, że III RP była konstrukcją zbudowaną, używając języka trochę staroświeckiego, na pysze. Bo jak inaczej wyjaśnić twierdzenia o bezalternatywności przyjętego modelu? Dla mnie głównym wspomnieniem z lat 90. jest poczucie straszliwej duchoty intelektualnej.

Jak to rozumieć?

Jak przystało na quasi-religijny fanatyzm, były to czasy kapłanów ekspertów, którzy po prostu znali prawdę. Obowiązywała zasada, że istnieje tylko jedna dobra odpowiedź na pojawiające się pytania. Każdą próbę dyskusji traktowano jak świętokradztwo. Kto myślał inaczej, był stygmatyzowany jako homo sovieticus, oszołom itp.

Czy III RP nie popełniła błędu, zaczynając budować swój mit zbyt wcześnie? Historię piszą zwycięzcy – ale czy twórcy ówczesnej Polski nie za szybko uznali, że już etap transformacji jest zakończony?

Zgadzam się, taki rodzaj intencji był widoczny. Do dziś pamiętam książkę Jacka Żakowskiego o „Tygodniku Powszechnym”, w której pokazywał on twórców tego tygodnika jako mędrców, którzy nigdy nie popełniali błędów. Do dziś się zresztą zastanawiam, jak to możliwe, że tamto środowisko – mając właściwie monopol w mediach, na uniwersytetach, w polityce – straciło swoje wpływy i władzę.

Już je stracili?

Nie ma już powrotu do *status quo ante*. Władzę to środowisko straciło już wcześniej, odebrał ją im Donald Tusk.

Przecież on żył z nim w bliskiej symbiozie.

Ale marginalizacja „Gazety Wyborczej” jako środowiska dokonała się za czasów Tuska. U nich zresztą zawiodło coś, co się łączy ze strategią. Chcieli zbyt wiele i nie zrozumieli, na czym polega hegemonia w tym obszarze.

A na czym polega?

Na zdolności tworzenia agendy. W kulturze dominuje ten, kto tworzy agendę, a więc tematy dyskusji, a oni chcieli dyktować odpowiedzi. To jest nie do zniesienia. To również jeden z powodów, dla którego dziś

zmienia się paradygmat – odchodzimy od Polski liberalnej na rzecz Polski solidarnej. Swoją drogą, te określenia wymyślił kiedyś Dariusz Gawin.

(...)

Teraz Pan mówi, że będziemy świadkami kolejnych wersji tego samego starcia bez przerwy? Jesteśmy skazani na permanentną wojnę PO z PiS?

Wojna Platformy z PiS jest częścią bardzo dużego konfliktu, który uważam za konflikt ustrojowy. To, co się dzieje w Polsce, jest bardzo podobne do tego, co obserwujemy w USA i w Europie.

W jakim sensie podobne?

Polska skopiowała model demokracji liberalnej, dość mechanicznie adaptując go do naszych realiów. Jego najsłabsze miejsca trzeszczą u nas intensywniej i wcześniej niż na Zachodzie. Zasadniczy problem tego ustroju polega na tym, że został on zbudowany na przekonaniu, że jedynym zagrożeniem wspólnoty politycznej jest faszyzm. To zresztą zrozumiałe. Być może gdyby Rosja nie znalazła się w koalicji z Zachodem, patrząc na wiek totalitaryzmów, dostrzeżono by również zagrożenia płynące z ateizmu, pogardy dla rodziny i wspólnoty narodowej oraz stałe zagrożenie oligarchizacją polityki.

Zręby nowego systemu zaczęły powstawać po II wojnie światowej.

Świat zachodni chciał za wszelką cenę uniknąć powtórki z tego, co się wydarzyło w Niemczech w latach 30. XX wieku. To miało wpływ na kształt instytucji, które pojawiły się w Europie Zachodniej po wojnie. To wtedy rozpoczęły się próby ograniczania wolności przez prawo. Doświadczenie faszyzmu polega na odkryciu, że w warunkach niekontrolowanej wolności lud może oddać władzę tyranowi. To zresztą stary problem, Platon opisuje go jako konflikt wolności i sprawiedliwości, a w sensie społecznym – ludu i arystokracji. Arystokracja reprezentuje prawo, za pomocą którego kontrolowana jest skłonność ludu do nadużywania wolności. Dokładnie wedle tego modelu budowano ustroje powojenne. Trzeba było zbudować mechanizmy, które miarkowałyby samowolę, która może się przerodzić w faszyzm. To właśnie z tego powodu w krajach Zachodu zamontowano instytucje sądów konstytucyjnych. To miały być ciała w dużej mierze wyjęte spod kontroli demokratycznej.

Dziś w Polsce budzi to dużo emocji.

Z punktu widzenia filozofa polityki dobre są te rozwiązania, które gwarantują pokój, dobrobyt i stabilność w długim terminie.

Ale gdy system zaczyna niedomagać, jego korekta jest szalenie ciężka – bo to system nietransparentny i niedemokratyczny.

Proszę zwrócić uwagę, że na Zachodzie ten model wytrzymał 70 lat. To bardzo dobry powód, by uważać go za skuteczny i ciekawy. Pytanie jest inne: dlaczego ten model zaczął trzeszczeć? Co przestało działać?

Jak Pan na nie odpowiada?

Wcześniej lud godził się na duże ograniczenie własnej wolności. Jego możliwości działania ograniczały się w istocie do możliwości wzięcia udziału w wyborach raz na cztery lata. Działo się to w warunkach niejasnych i zwykle niedemokratycznych mechanizmów kooptacji do środowisk sprawujących władzę. To doprowadziło do sytuacji, w której klasa polityczna stała się de facto rządzącą oligarchią. Mechanizmy kooptacji oraz usuwania z tej grupy są bardzo nieczytelne.

W Polsce i na Węgrzech lud korzysta teraz z prawa wolności bardziej niż na Zachodzie?

Z pewnością to, co obserwujemy, jest częścią tego wielkiego sporu ludu z funkcjonalną arystokracją. Pytanie brzmi: skoro system był tak dobry, to dlaczego doszło do patologii? Głównym problemem był brak odpowiedzi na klasyczne pytanie: kto pilnuje strażników? Gdyby powojenna refleksja polityczna wzięła pod uwagę choćby doświadczenia drugiego totalitaryzmu, to dostrzegłaby ryzyko degradowania się elit władzy. Ponieważ jednak skoncentrowała się wyłącznie na zapobieganiu faszyzmowi, to nie wprowadzono mechanizmów kontroli.

Tymczasem pojawił się problem z sądami, świetnie widoczny choćby w Polsce.

Jeśli przed faszyzmem chronić ma prawo stanowione, to naturalnym przeciwnikiem są wszystkie instytucje będące źródłami norm niezależnymi od woli prawodawców.

O jakie źródła norm chodzi?

To wszystkie autonomiczne źródła norm: religia, rodzina, tradycja narodowa, wreszcie ontologia – bo przecież atak na stabilność dystrykcji płciowych jest częścią tego samego projektu. Ciosem w ten system był kryzys ekonomiczny sprzed 10 lat oraz późniejszy kryzys migracyjny. Niepisana umowa, że lud rezygnuje z udziału we władzy w zamian za pokój i dobrobyt, została złamana. Przyznam, że nie znam bardziej samobójczych deklaracji niż te, które ciągle słyszę od liberalnych i lewicowych polityków, mówiących na przykład, że trzeba się przyzwyczać do zamachów, bo w latach 70. było gorzej. Fundamentalnym zadaniem władzy jest zapewnianie obywatelom bezpieczeństwa. Kiedy władza deklaruje, że bezpieczeństwa nie jest w stanie zapewnić, to *de facto* abdykuje.

I to jest najważniejszy dzisiaj podział polityczny: arystokracja kontra lud?

Wolę określenie „arystokracja funkcjonalna”. To napięcie jest kluczowe, że mamy do czynienia z kryzysem ustroju politycznego, który nie jest zdolny harmonizować interesów stron tworzących wspólnotę polityczną. Model się wyczerpał. Dotychczasowy podział ról jest

niesatysfakcjonujący, co powoduje kryzys legitymizacji władzy. Akceptacja dla niepisanego układu odeszła do przeszłości. Lud chce większej władzy i większej kontroli nad polityką.

Stąd sukcesy Ruchu 5 Gwiazd we Włoszech, AfD w Niemczech. Szwedzkich Demokratów w Szwecji itp.

Tak. System był stabilny przez lata, ale to się skończyło. Widać to w Niemczech, przy okazji wydarzeń w Chemnitz. Niemcy tracą zdolność zarządzania modelem, który stworzyli. To nie jest tak, że jedynym źródłem kryzysu jest decyzja Angeli Merkel o otwarciu granic sprzed trzech lat. Nie. Jednym ze źródeł kryzysu jest model gospodarki oparty na zatrudnianiu imigrantów, którego nie można dłużej pogodzić ze spokojem społecznym. Czy przemysł zaakceptuje zmianę tak zyskowego modelu? Kryzys, który widać w Polsce czy w Europie, uda się przełamać tylko wtedy, gdy dojdzie do samoograniczenia się elit. Tylko redefinicja reguł sprawi, że uda się odzyskać w Europie równowagę.

Nie widać, żeby te elity chciały się posunąć.

I to jest zasadniczy problem. Korekta wymaga demokratyzacji. Dzisiejszy *demos* nie jest taki sam jak ten, który po 1945 roku godził się oddać władzę w zamian za pokój i dostatek. Nie tylko dlatego że przestał się bać faszyzmu, ale również dlatego że nie chce już dłużej żyć w demokracji nominalnej.

Teraz Pan stawia tezę, że w Europie po wojnie nie było demokracji?

Gdyby Arystoteles miał okazję opisać system polityczny w dowolnym kraju Europy Zachodniej, uznałby go w najlepszym razie za kraj arystokratyczno-demokratyczny. Raczej arystokratyczny – z powodów, które opisywałem przed chwilą.

Z drugiej strony, to polski rząd jest oskarżany o łamanie konstytucji, a więc naruszanie istniejących zasad, ustalonych demokratycznie.

Ta dyskusja jest dzisiaj tak polityczna, że trzeba doprawdy wielkiej wiary, żeby uwierzyć w bezpartyjną Temidę. Viktor Orbán, który dokonał zmian, mając większość konstytucyjną, nie jest mniej atakowany od PiS. Nie znam się na prawie, ale nie mam wątpliwości, że wprowadzanie zmian, które pozwolą zachować równowagę, musi skutkować zmianami w porządku prawnym. A nowy ustrój to i nowa konstytucja. Może jestem naiwny, ale ciągle mam nadzieję, że roztropność stron pozwoli dokonywać niezbędnych korekt w sposób niezrywający ciągłości – a więc bez rewolucji. Bo to, że zmiana jest potrzebna, wydaje mi się oczywiste.

Widzi Pan po stronie arystokracji – dziś w Polsce uosabia ją PO – zdolność do zmiany wcześniejszej umowy społecznej, do wy-negocjowania nowych zasad?

W świecie marzeń wyglądałoby to tak: następuje demokratyczna korekta ustroju, a funkcjonalna arystokracja godzi się na znaczne ograniczenia. Niestety, możliwe są i mniej sympatyczne scenariusze. Jeden z nich, którym często straszą nas liberalne media, to wizja populistycznej dyktatury. Drugi, który na razie wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobny, to groźba dyktatury postliberalnej.

Dyktatury, którą wprowadzą obecne liberalne elity?

Tak. Zmiany zachodzące we Francji, gdzie wiele przepisów dotyczących stanu wyjątkowego włączono do porządku prawnego, czy ograniczanie wolności w internecie są przejawami takich tendencji.

Jak daleko elity się posuną w obronie istniejącego porządku?

Trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że rozsądek jednak zwycięży. Owszem, tu i ówdzie słyszy się pomysły radykalnego ograniczenia demokracji – do rezygnacji z wyborów włącznie. Instrumentem funkcjonalnej arystokracji jest prawo stanowione, więc metodą realizowania hasła „żeby było tak, jak było” jest i będzie próba delegalizowania tego, co przesądza o sile ludowej rewolty. Z całą pewnością nurt antydemokratyczny, który – co zresztą bardzo zabawne – przedstawiany jest jako obrońca demokracji, jest bardzo silny. Czy zrozumie, co się wokół dzieje? Czy okaże się zdolny do samoograniczenia? Zobaczymy niebawem.

Z Dariuszem Karłowiczem rozmawiał Agaton Koziński

Fragmenty wywiadu publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy „Polska The Times”. Całość wywiadu można przeczytać na stronach internetowych dziennika.